

Andrzej Bobkowski

SPOTKANIE

OPOWIADANIA

Wybrał, opracował i posłowiem opatrzył
Krzysztof Ćwikliński



UŚMIECH Z GÓRY

- Wchodzi się tu z wielkiego podwórza bocznymi schodami. Tam, na wprost, są te szerokie kamienie z niebieskim dywanem opadającym z piątego piętra jak kaskada. Nasze są drewnianym, sześciopiętrowym korkociągiem. Tamte wiodą do wielkich i statecznych mieszkań prawdziwych lokatorów. Nasze wkręcają się aż pod dach, biegnąc stromo do labiryntu korytarzy i pokoików „tych z góry”, jak mówi pogardliwie konsjerżka. Dla niej nie jesteśmy lokatorami. Jako wolni ludzie paryskich dachów nie uznajemy tyranii jaskiniowca z parterowej „łóży”.

Jacques, rzutki pracownik metra, powiedział jej raz, że kiedy on pluje z góry na dół, to jej się przez próg przelewa. Nie może mu tego przebaczyć. A gdy polewa rano wyłożone kafelkami podwórze, M. de Saint-Esprit, urzędnik państwowy, pyta zawsze z miłym uśmiechem: *Ça pousse bien?*¹ Polska pokojówka hrabiego de Farges jest zbyt godna, by rozmawiać ze „stróżką”; jak przystało na Magdę, którą zwą Mademoiselle Madeleine. Nie mówiąc o tym, że gdy comtesse de Farges wyjeżdża, Magda całkowicie ją zastępuje i podobno nie tylko jada z M. le Comte przy jednym stole... Białe w różnokolorowe łaty piesek M. Guillou, farbiarza

• Objaśnienia na str. 433–440. •

wrzosów, nieśmiertelników i innych wiecznych kwiatów do trwałych wieńców i na kominki, robi zawsze pod bramą to, co powinien robić na ulicy. Konsjerżka podejrzewa ich o znowę, ale M. Guillou uśmiecha się i cedzi spod bretońskich wąsisk: *Quelle méchante bête*². Mówiąc to, na pewno nie myśli o swoim Friquet³. Z Eliane, modelką w domu mody Ardanse⁴, stosunki zerwane są od lat; Eliane zrobiła zamach stanu: nie odbiera żadnych listów. Chcąc uniknąć cenzury korespondencji, z której mogłoby wynikać, że obnoszenie sukien na pokazach modeli u Ardanse nie jest jedynym źródłem jej dochodów, odbiera listy na poste-restante...⁵ Toteż często można słyszeć, jak wnikliwa *madame la concierge*⁶ kwaka w narożnym bistro: „Ona wróciła dziś po południu nie wyszedłszy rano” lub: „Takie wstają, gdy chcą wypocząć”. Tu wojna jest wieczna. Ale ataki trafiają na uśmiech Eliane, na ten nasz uśmiech z góry.

Tam na górze nie ma gazu, nie ma elektryczności. Są: wiatr, słońce, księżyc i gwiazdy. Wzrok kładzie się na bezkresnym morzu dachów. Gdy jest pogoda, są one niebieskie i spokojne; gdy nadciągają chmury i wiatr zaczyna w nie walić gwałtownymi uderzeniami, stają się szare i zimne. Deszcz marszczy ich gładką powierzchnię, a z ich grzbietów, jak z grzbietów fal, wicher porywa tumany wody, by cisnąć nią z hukiem w oszklone luki nad nami. Rwie się na strzępy pajęczyna dalekiej wieży Eiffla⁷, znika we mgle biała jak głowa cukru Sacré-Coeur⁸. Wiatr łomocze drzwiami, chodzi po korytarzach; nieruchome, czarne zbroje osłon na kominach nadstawiają mu żelazną pierś w gwałtownych obrotach. A gdy znowu błysnie słońce, gdy granatowe plamy

nieba odbiją się w lśniących płaszczyznach, nastaje cisza, głęboka i dobra.

Wieczory są tu dłuższe niż tam, w dole. Gdy na ulicach i w przepaścistych podwórkach jest ciemno, tu trwa długi półmrok. Potem zaczynają drgać gwiazdy i światło księżyca, zimne i białe, zlewa się z ciepłym i żółtym blaskiem lampy naftowej. Rano pierwsze wiązki promieni pomarańczowego słońca wpadają płaskim lotem tu; zapalają się czerwienią szyby małych okienek, różowią kominy. Nad czarnymi i milczącymi jeszcze kanionami ulic ścielą się niebieskawe opary. Z nich, według wzorów tajemnej alchemii, powstanie na resztę dnia paryska mgielka.

I wiosna też jest tu prędej. Zanim wystawy Vilmorina⁹ na quai de Mégisserie zakwitną barwnymi torebkami nasion i Samaritaine¹⁰ zamieni się w wielki skład polewaczek, grabi i klatek z drobiem; zanim na pont au Change¹¹ zaczną rosnąć dwa razy w tygodniu szkółki drzewek i na chodnikach wszędzie zielona szczołka sadzonek jarzyn i kwiatów, my już czujemy jej nadejście. Dzień za dniem wygina coraz bardziej łuk słońca, a zaspana mucha obsuwa się z szyby w swych pierwszych wędrówkach.

Ćwierkanie wróbli jest inne, gdy kąpią się w rynnach, w wodzie stopionego szronu.

Mijały tu dni jasne, noce spokojne; mijały zimy, krótkie wiosny. Letnie słońce walcowało blachę dachów na gorąco, studziła je jesień. Długo różowiły się one od neonów Montmartre'u, Bulwarów i Montparnasse'u. Dwadzieścia jeden salw ogni sztucznych rozsypywało się nad nimi co rok w bukiety czternastych lipców po tamtej wojnie. Potem

przyszła znowu ciemność, rozświetlana łunami pożarów, odległych wybuchów i gwiazdami świetlnych pocisków. Dawny, dobroduszny uśmiech z góry stał się złośliwy i podziemny.

W te długie wieczory M. Guillou głośniejszy czytał Ewangelię po łacinie, źle wymawiając niezrozumiałe słowa. Na procesjach jego kongregacji podziwiali towarzysze tę jego łacinę bardziej niżeli piękną chorągiew, z której jest zawsze tak dumny. Teraz biegał na jakieś tajemnicze zebrania i miewał długie narady z Jakiem. M. de Saint-Esprit zrobił się małomówny i często chodził do pracy z teczką wypchaną jakimiś papierami. Do Jacques'a schodzili się młodzi ludzie w kanadyjkach, tupiąc ciężkimi butami po schodach. Eliane czytała bezkresne *Przeminęło z wiatrem*¹² i *Muson*¹³, zbiegając z Magdą na dół, gdy zaczynały wyć syreny.

W głębokim dworcu metra Pigalle¹⁴ bywało wesoło. Czasem, późnym wieczorem widziało się, jak z tamtych wielkich schodów wyslizgiwała się smukła sylwetka wysokiego chłopaka w bardzo nowym i niezgrabnym ubraniu. Magda mówiła, że raz słyszała, jak ktoś rozmawiał z jednym z nich po angielsku. Uśmiechnęliśmy się i Jacques powiedział:

– Tam, na dole, też są porządni ludzie.

Jeden był język, jeden sens zabronionych słów.

I znowu uśmiech stał się, jak dawniej, dobroduszny, gdy po kilku dniach strzałów ryknęły w sierpniowy wieczór na wszystkich ulicach motory GM-ów¹⁵. M. de Saint-Esprit patrzył z pogardą na swoją plantację tytoniu w paczkach na balkonie i pochylony nad trójkolorowym sztandarem palił lucky¹⁶. Eliane i Magda żuły gumę jak setki tysięcy długich,

zielonych chłopców w ciężkich hełmach i mówiły: „OK”. Jacques z patosem Cyrana¹⁷ opowiadał o swoich walkach w dzielnicy Batignolles¹⁸, a M. Guillou farbował w skupieniu dużo kwiatów do wielu wieńców. Dobry uśmiech mieli wszyscy, nawet konsjerżka.

Dalej mijały dni. Tej zimy żelazne piecyki były tak samo zimne jak dachy i rozlana woda marzła na kamiennej posadzce małych pokoików. Ale uśmiechaliśmy się.

Ten uśmiech, już bledszy, rozjaśnił twarze, gdy w majową noc trysnęły nad Łukiem Triumfalnym ognie sztuczne i od Pól Elizejskich dochodził aż tu gwar tłumu. Ale równocześnie M. de Saint-Esprit szeptał cicho w młode listki piennego groszku na balkonie: *C'est pas ça, c'est pas ça...*¹⁹ chociaż Jacques obcałowywał Magdę i Elianę, krzyząc: „Zwyciężyliśmy!”.

Różowiły się kominy rano, zapadały wieczory. Ale nieprzerwana dotąd nić tej ciągłości odwiecznej, tak silnej tu w świetle naftowych lamp, w syku spirytusowej maszyny, zerwała się gdzieś. Zaczęło się gubić wiele nanizanych na nią, jak paciorki, dni równych, pełnych spokoju, dobroci i zrozumienia. Tam, w dole, trąbią z powrotem czerwone taksówki i odzywają się ochryplym basem waltorni zielone autobusy. Lśnią neonami chromowo-szklane bistra i powróciło gadulstwo. Uczony *épicier*²⁰ wyklada historię Francji olśnionym klientkom:

– *Vous savez*²¹, kiedy Ludwik XVI siedział z rodziną w Temple²², to na nich i na dwanaście osób służby szło dziennie sto funtów mięsa, trzydzieści funtów słoniny i siedemdziesiąt jaj, *oui, madame*²³, siedemdziesiąt jaj...

– *Quelle honte*²⁴ – dyszy obrażona równość, jakby chodziło o jakieś ostatnie nadużycie Ministerstwa Wyżywienia.

Coś wraca, coś łudzi, że to, co dotąd zawsze wracało, zjawi się i tym razem. Ale w tym świecie, dotąd prostym, coś złamało się także wpół. Nie wraca spokój dni i tu, wysoko. Dobroć i dobroduszość chowają się coraz częściej w zakamarkach pod dachami i choć spojrzenia pozostały te same, widać w nich szare i zimne błyski. Pękło zrozumienie, bo choć wróciły i dźwięczą głośno zakazane tak długo słowa, zmienił się ich sens.

Zniecierpliwienie i głucha, nieokreślona obawa przenikająca do głębi rodzą gwałtowność lub przyływ zrezygnowanej bezcelowości. Nie dlatego, że tak rzadko rozchodzi się dziś zapach smażonego na oliwie mięsa, a kolorowe, owocowe wózki przekupek na dole stały się jednostajne i ubogie. Bunt nie wyraża się gorzkim skrzywieniem warg lub cynicznym szeptem. Bunt łączy, jak łączył w tych latach ciemności, a nie rozdziela i łamie. Gdzieś z dołu, może razem z głosami sprzedawców niezliczonych gazet, może ze słowami, co nie uległszy zmianie, mówią w nich dziś kilkoma językami w tej samej mowie, wślizgnęła się zaczepna pogarda myśli drugiego i zabiła nawet obojętność.

Wąsaty M. Guillou sztywno mija Jacques'a, niosąc swoją chorągiew w ceratowym futerale jak pikę. Dawniej młody pracownik metra z uśmiechem słuchał, że kosztowała ona trzy tysiące franków przed wojną, bez drzewca, bez okuć i bez futerału; usypiając w monotonnym szmerze półgłosnych słów, czytanych za ścianą wśród suchych kwiatów, czuł i rozumiał ich prawdę na pewno, nie rozumiejąc